1844. Nr 27. ROK 3.

Redaktor Główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

WSPOMNIENIE
O IGNACYM DANIŁOWICZU.

W roku przeszłym, u wód w Greffenbergu, umarł znany, uczony polski prawnik Ignacy Daniłowicz. Żadne pismo polskie nie wspomniało o jego zasługach, żadne nie umieściło jego życiorysu chociaż do czterech dzienników polskich dawał swe artykuły. Nie wiemy drobnych jego życia szczegółów. Znamy go jednak z pism w przedmiotach prawnych i historycznych. Dziedzina ta nauk, mniéj od innych u nas uprawiana, a tak ważna, znalazła filar w uczonym ziomku naszym. Odbierał on nauki w Wilnie; w tamtejszym doskonalił się Uniwersytecie i tam był professorem. Zwiedził książnice poznańskie, warszawskie,

petersburgskie i moskiewskie, przejrzał wszystkie bogactwa, jakie w gałęzi prawnéj i historycznéj posiadał księgozbiór wileńskiego Uniwersytetu, a zewsząd skarby znamienite dla pożytku piśmiennictwa polskiego i pamiątek prawnych wydobył. Na ostatku życia, zasiadał katedrę zwyczajnego (ordynaryjnego) professora Uniwersytetu w Moskwie.

Znamy następujące prace tego professora: W roku 1823 w Nrze VII i następnych *Dziennika Wileńskiego* napisał historyczną wiadomość o statucie, jego najrzadszych wydaniach i drukach ze wskazaniem miejsc, w których się przechowały.

W roku 1824 wydał w Wilnie w pokroju ósemkowym wiadomość historyczną o Cyganach, z dodaniem wyrazów i wzorów odmian grammatycznych języka tego narodu.

W tymże roku, będąc w bibliotece petersbugskiéj kanclerza Rumiańcowa, wynalazł rozporządzenie karne Kazimierza IV z roku 1492, i wydał w języku piérwotnym wraz z tłumaczeniem na polską mowę przez Leona Rogalskiego, str. 78 i XVIII w 8ce.

1826. *Statut Kazimierza Jagiellończyka, pomnik najdawniejszych uchwał litewskich z XV wieku, wynaleziony i drukiem ogłoszony staraniem J. D.* w Wilnie.

Stary statut litewski, w lat siedm po rozkazie Zygmunta I w jednę zebrany księgę i noszący nazwę *pierwszego*, napisany w języku ruskim, różnym od dzisiejszéj ruszczyzny, i miany już za rzecz zupełnie zatraconą, wynalazł Daniłowicz: jeden w bibliotece b. Towarzystwa Przyjaciół nauk; drugi w księgozbiorze b. Uniwersytetu wileńskiego; trzeci w książnicy Działyńskiego w Poznaniu. Przygotował wspomniony professor wydanie tego statutu w języku ruskim, polskim i łacińskim, a Działyński w 1829 roku rozpoczął drukować, lecz wytłoczył tylko 18 arkuszy.

W 1837 roku staraniem i pracą Daniłowicza w Wilnie, w pokroju ósemki, wyszedł z druku: Latopisiec Litwy i kronika ruska z rękopismu słowiańskiego przepisane, wypisami

z Wremiennika sofijskiego pomnożone; przypisami i objaśnieniami dla czytelników polskich potrzebnemi opatrzone.

Odtąd nieznamy (lubo *być* może) osobno wydanéj pracy uczonego professora; a natomiast spotykamy artykuły jego w *Tygodniku petersburskim (rozbiór Historyi miasta Wilna, przez Kraszewskiego napisanéj*, i bardzo wiele innych t. p.); — w *Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych*, wydawanych w Wilnie przez Ignacego Szydłowskiego; — w *Athenaeum* redagowaném przez Kraszewskiego (jak *np*. o właściwych litewskich latopisach); (*) naostatek dla professora berlińskiego Biener, który pracował nad historiją rzymskiego prawa wschodniego, napisał *Rzut oka na prawodawstwo litewskie;* rzecz ta po niemiecku wytłoczona była w czasopiśmie *Dorpater Jahrbücher* w Nr. IV, V i VI, 1834 r. a ztamtąd przetłumaczona na mowę polską, mieści się w Pamiętniku naukowym krakowskim z 1837 r. T. I zesz. 2.

W Dzienniku Ministerijum narodowego oświecenia, wydawanym w Petersburgu, w 1841 r. czytamy między wiadomościami o pracach innych professorów, te słowa o uczonym ziomku naszym:

„Zwyczajny professor w Uniwersytecie Moskiewskim, napisał rozprawę: Badania historyczne o początkach powstawania słowiańskich, a mianowicie polskich miast do XIII wieku; — zbierał akta i przywileje, pomocnicze wyjaśnienia prawodawstwa i historyi Litwy, oraz zawisłéj od niéj Rusi.“

Tyle wiémy tylko szczegółow o pracach tego Prawnika i Dziejopisarza. Sądzimy, iż ci ziomkowie, którzy się znajdują bliżéj źródeł, dających zasoby do skreślenia jego życiory-

(*) Artykuł ten, naprzód drukowany był w Dzienniku Ministerijum narodowego oświecenia; ztamtąd przełożył Leon Rogalsk[illegible] do Magazynu Powszechnego. Późniéj sam autor *po polsku* przy[illegible] dla redakcyi Athenaeum. *(Przyp. Redak.)*

su, a mianowicie uczniowie zmarłego, jako to Mazur z Płockiego i t. p. skreślą obszerniejszy opis zasług, prac i żywota znanego światu, uczonego professora swego. Nim to jednak nastąpi, kilka słów wspomnieniu ziomka, badacza praw i dziejów krajowych, dla wiadomości czytelników naszych, poświęciliśmy.

H. Skimborowicz.

NIEZNANE DOTĄD UWAGI LEJBNICA
nad
ZASADAMI DESCARTA.

Błogosławiony wiek XVII, noszący w łonie swojém ziarna wielkiego odrodzenia się myśli i społeczności, jest wiekiem, który długoletnią niepłodność człowieczeństwa chciał na raz jeden wynagrodzić — i wydał poczet olbrzymów. Z tego to wieku, jako z wyniesionego nad dziejami wzgórza, biorą początek najpotężniejsze zasady filozoficzne, płynąc każda w oddzielnym a nawet odwrotnym kierunku. W połowie XVII stulecia Descartes umiera w Sztokholmie; los tego męża podobny jest do Fryderyka W°, obaj usypiali, nie przewidując jakie się koleje dla przyszłości w ich życiu i działaniach zawiązały. Nietylko pod całém siedemnastém stuleciu, ale nawet pod dzisiejszém, nurtują pomysły nowéj filozofii, a jéj zaród tutaj się odnosi. Tu Lock, wytaczając bój *wrodzonym ideom*, w osobie Platona i Descarta, zapuszcza się w rozbiór żywiołów samowiedzy; surowy Hobbes odgrzywał średniowieczny nominalizm, w tych wyrazach: „nic niéma ogólnego w naturze, wyjąwszy nasze ogólne nazwania przedmiotów; same zaś te przedmioty są pojedyncze i oddzielne" — pisze *filozofiją piérwszą Leviathana*, i mówi: co jest populus a co multitudo. — Malebranche stawia Boga pomiędzy duchem i światłem za pośrednika, który, jako wszędzie obecny, jest podstawą i tłem dla duchów, jak przestrzeń dla ciał materijalnych. Tymczasem Spinoza żelazną dłonią buduje dosko-

nały (mówię objective) panteizm, powraca na nowo *wrodzoną ideę doskonałego bytu*, dochodzi do pojęcia jednéj nieskończonéj substancyi, która w przymiocie zarodowéj potęgi, (natura naturaus) nosi w sobie nasiona całéj rozmaitości stworzeń, i rozpromienia się w świat mnogi i wieloraki, (natura naturata). Substancija Spinozy, ogromna w pojęciu, smutna w wyrozumowaniu, przeraża praktycznością. Jego państwo (traktatus theologico politicus) jest to mroczny, na zimnych względach ochrony osobistéj oparty system siły i bojaźni. Wreszcie w XVII wieku dzieckiem, jest Herkules filozofii, Lejbnic, twórca *przedwiecznéj harmonii* i monadologii.

Samo pochodzenie i dziejowy związek Lejbnica z poprzedzającymi go filozofami, były i są przedmiotem licznych badań i sporów. Do najswieższych w tym zakresie zjawisk należy pomysł Erdmanna, który w wydaniu swojém Lejbnica wyrzekł, iż „On zaczerpał ducha swego systemu od Spinozy.“ Mniemanie to wszakże polega, na bardzo jednostronnéj podstawie:

Lejbnic na wstępie: „Nouveaux Esseys sur l'entendement humain“ wśród uwielbiającéj harmoniją przedwieczną rozmowy: kładzie w usta Teofila (broniącego zasad Lejbnica) te słowa, „Vous savez (mówi Teofil do drugiego) que j'étais allé un peu trop loin autrefois et que je commençais à pencher du côté des Spinosistes, qui ne laissent qu'une puissance infinie à Dieu“ Te więc słowa tak wytłumaczono, że nibyto: Lejbnic kiedyś miał się skłaniać na stronę Spinozistów. Ale tych słów w żaden sposób, do Lejbnica bezwzględnie odnosić niemożna. Owszem, on chciał przewidzieć tylko, że jego filozofija może być środkiem zachowawczym przeciwko Spinozyzmowi. Właśnie sam nawet Teofil dodaje: „mais ces nouvelles lumières m'en ont guéri“ (lecz światło téj nowéj nauki wyleczyło mię). Inni znów sądzili, iż to i temu podobne miejsca oznaczają *przejście* od powziętych zasad do własnych. Któż z nas zaiste nie doświadczył tego na sobie! kto z nas, szczególniéj też

w młodości, w téj bujnéj młodości, gdzie się podoba i zachwyca wszystka nowość, a tém bardziéj śmiała, kto z nas nie ukląkł przed jakimkolwiek systematem, który się w jego głowie wydawał bożyszczem! nie pokochał go, nie opasał nim całego wątka myśli swoich!

Lecz Lejbnic bardziéj może zapatrzył się na Descarta, na ową rdzeń, jak powiada Guhrauer, któréj Spinoza starszą gałęź stanowi.

Sądzimy, iż miłą czytelnikom zrobimy przysługę, przytaczając *nieznane dotąd* uwagi Lejbnica nad pomysłami Descarta. Ważne to odkrycie, winniśmy uczonemu Pertz, bibliotekarzowi naczelnemu w Berlinie. Dla ułatwienia zaś, umieszczamy tu pod znakami D. i L. zasady jednego i drugiego filozofa.

Descartes. Kto chce badać prawdę, musi raz w życiu o wszystkiem, jak najmocniéj, zwątpić. Albowiem od dziecinstwa zaczęliśmy sądzić o rzeczach, piérw nim władać doskonale rozumem. Ztąd koniecznie wynikać muszą sprzeczne poznaniu prawdy przesądy, na które jeden środek: zwątpić o wszystkiém, w czém tylko najmniejszy zachodzi pozór niepewności.

Lejbnic. Konieczność wątpienia o wszystkiem, wymagała tu obszerniejszego wykładu; należało téj zasadzie nadać takie brzmienie: śledź i badaj stopień prawdy lub fałszu w każdym przedmiocie. Descartes zaś chciał tu bardziéj niezwykłością pomysłu uderzyć, niżeli nauczyć. Wszędzie są pewne zasadnicze prawdy, na których polega cała budowa dalszych rozumowań, n. p. w Jeometryi. Już dawni matematycy starali się tych samych zasadniczych prawd dowodzić; podobną drogę należało i Descartowi obrać! Ale pytam się, gdybyśmy chcieli tracić czas na dowodzeniu takich prawd, jak n. p. że dwa kąty w trójkącie są większe od trzeciego, czyby się wzniosła tak wysoko matematyka? ile że te prawdy trafiają do przekonania najpospolitszych nawet rozumów.

2. *D*. Same nawet wątpliwe rzeczy należy uważać za fałszywe, aby tym sposobem poznać: co jest istotnie pewném i najłatwiejszém do poznania.

L. Brać rzeczy wątpliwe za fałsz, byłoby to zmieniać przesądy, ale nie niweczyć. Z téj zasady wyrodził się u Descarta błąd, o którym niżéj powiemy.

3. *D*. Wątpijmy nawet o tém, cośmy za niemylne uważali, o pewnikach matematycznych, o samych zasadach, powszechnie znanych: już to dla tego, że wielu na nich zbłądziło, już dla tego że Bóg, jak wszystko może, tak i nas mógł postawić w fałszywym sposobie widzenia rzeczy.

L. W matematyce tyle można mieć wątpliwości, co w rachunku arytmetycznym i analitycznym. Jedyny więc na to środek, często i przez wielu powtarzane przeglądy rachunku, i użycie próby. Tu głównie działającą przyczyną błędu, jest słabość pamięci ludzkiéj i baczności; a na to lekarstwa nie da nam i sam Descartes, mimo całéj potęgi geniuszu swego.

4. *D*. Rozum nasz ma bezwzględną i wolną wolę, nieprzyjmowania tego za prawdę, co mu się zdaje ulegać wątpliwości, i tym sposobem uniknienia błędu.

L. Wolną wolę mamy nie w sądzeniu, ale w działaniu. Nie jest rzeczą mojéj woli osądzić, czy miód mi się słodkim, czy gorzkim ma wydawać; równie nie od woli zależy sąd o tém, czy ten pewnik prawdą jest lub fałszem; rozważać sąd mój, jest rzeczą *uznania* (conscientiae). Bo kto stanowi sąd, ten uznaje w sobie na to, albo obecną zasadę (rozumem), albo odnowioną przeszłą przez pamięć; chociaż tu często myli nas pamięć albo uwaga. Wszakże uznanie zasady obecnéj lub przeszłéj, nie jest rzeczą naszéj woli. W wątpliwych téż rzeczach do uznania, należy rozebrać sąd i zważyć dowody. Nie ma co mówić, że wpływa tu i wola, ale pośrednio, gdyż pobudza uwagę do ruchu i nakazuje śledztwo nad sądem, nie wpływając wszakże (objective) na samą naturę sądu. Dla tego téż często ludzie w co zechcą uwierzyć,

w to uwierzą stopniowo, wmówią w siebie pewność ulubionéj (częstokroć fałszywéj) zasady, — tak dobrze umieją pogodzić wolę z uznaniem!

5. *D.* Atoli, gdybyśmy wszystko zewnątrz nas będące odrzucili i za fałszywe, nieistniejące osądzili, nie idzie zatém, abyśmy my sami, którzy tak oto sądzimy, abyśmy my, podmioty myślące, także mieli nie istnieć. Bo niepodobna, aby istota myśląca, wtedy właśnie, gdy myśli, nie istniała. Przeto pojęcie: „Myślę, więc jestem“ stanowi najpiérwsze godło i najpewniejszy krok do stanowiska fiilozoficznego.

L. Słusznie uczynił Descartes kładąc swoje: „myślę więc jestem“ pomiędzy najpierwsze prawdy rozumowe i faktyczne. Ale należało nie opuszczać przytém i wielu innych, téj równych. W ogóle więc tak powiedzieć można: Prawdy są dwojakie — rozumu lub factu. Z prawd rozumu najpiérwszą jest zasada sprzeczności (contradictionis), albo, co na jedno wyjdzie: tożsamość (identicismus), jak jeszcze Arystoteles zauważył.

Prawd faktycznych tyle jest ile bezpośrednich pojęć czyli uznań, nie tylko o sobie samym (subjekcie myślącym) lecz i o przedmiotach pojmowanych; o ile bowiem pewnym jestem że myślę, o tyle pewnym jestem, że myślę o tém lub owém. A zatém prawd faktycznych ustanowić można, przed innemi dwie: *Ja* myślę, i mam liczne *przedmioty* w myśli; a zatém nie tylko jestem, ale zarazem jestem w różnych stopniach *uprzedmiotowany* (affectus sum vaviis modis).

6. *D.* Zastanawiając się nad tém, kto *my* jesteśmy, my, którzy wszystkie od nas odmienne przedmioty za fałszywe uważamy, łatwo dostrzedz, że: żadna przestrzeń, żadna postać, żaden ruch, słowem nic takiego, coby ciału przyznać można, do *duszy* naszéj nie należy, lecz że jéj cechę stanowi myślenie samo (już tém samém łatwiejsze do poznania, niż jakiekolwiek ciało).

L. Nie uchodzi takie rozumowanie: „mogę przypuścić że ciała żadne nie istnieją, lecz nie mogę przypuścić, że *ja* nie istnieję i nie myślę; więc ja nie jestem istotą cielesną, ani też myślenie nie jest momentem ciała“ Dziwi mię (odpowiada na to Lejbnic), że Descartes mógł tyle i na tak wątłym sofizmie budować. Ktoby sądził że dusza jest cielesna (materijalna) nie może zaraz z tego przypuszczać, że ciała żadne nie istnieją; lecz na to tylko pozwoli, że ty (dopóki nie znasz natury duszy) możesz *wątpić*, czy ciała istnieją lub nie; gdy jednak jawnie widzisz, że dusza istnieje, na ten jeden ztąd wniosek przystać musi przeciwnik, że możesz być w wątpliwości czy dusza nie jest cielesna? Więcéj już nad to niemożna wycisnąć z tego założenia. Co inszego, jeżeli obierzemy sobie założenie: że naturę naszéj duszy równie jak jéj istnienie, możemy poznawać, a jednak być w niepewności czy jest cielesna, lub nie?, albo przypuścić, że obok istnienia duszy, ciało nie istnieje; bo tym sposobem możemy wywnioskować że dusza nie jest cielesną. To jednak założenie przypuszczone, należałoby wzmocnić.

7. *D.* Gdy umysł, znający siebie, a o innych przedmiotach jeszcze wątpiący, stara się wszelkiemi sposobami rozszerzyć zakres swéj wiedzy, dostrzega naprzód w sobie idej wielu rzeczy, w które, jeżeli się wpatruje i z rzeczywistością porównywa, mylić się nie może. Dostrzega także w sobie pewne ogólne pojęcia, i z tych układa rozmaite dowodzenia, i jeżeli się ich trzyma, sam czuje; że są prawdziwe. Lecz ponieważ nie zawsze może uobecniać ich sobie i mieć przed oczyma; daléj, ponieważ nie może ręczyć, czy z saméj natury nie jest przeznaczonym, do błądzenia właśnie w najoczywistszych rzeczach, przeto widzi się słusznie zmuszonym do wątpienia o wszystkiém, widzi że niémasz dla niego podobieństwa żadnéj pewnéj wiedzy, jeżeli wprzód nie pozna Twórcy swojego. W takiem to znaczeniu poznanie innych przedmiotów zależy od poznania Boga.

L. Już nadmieniłem pod §. 2, że próżno jest mówić o błędach, wynikających z niedołężności uwagi i pamięci, gdyż dla uniknięcia ich niéma żadnego środka, zwłaszcza przy dłuższém rozumowaniu, tu więc jedyny środek i rozbiór. — Wątpliwość, podniesiona tu przez Descarta, jest takiego rodzaju, że nie może być ani za przypuszczeniem bytności Boga usuniętą, ani za odrzuceniem jéj, utwierdzoną. Bo *przypuszczając* bytność Boga, niekoniecznie idzie za tém, aby nie miało istnieć jestestwo tak niedoskonałe i omylne, jak człowiek; zwłaszcza że ta niedoskonałość może pochodzić nie z natury, lecz za grzech nasz na drodze upadku być zesłany od Boga (jak uczą teologowie chrześcijańscy); usuwając zaś bytność Boga, byle tylko zostawało to, że my istniejemy, toć przecie możemy istnieć ze zdolnością poznawania prawdy i uniknienia fałszu. — Jakkolwiek tutaj mniej stosownie wprowadzona jest rzecz o Bogu, to jednak pewna — tylko nie w takiem rozumieniu, jak u Descarta — że prawdziwe poznanie Boga jest początkiem wyższéj mądrości; bo Bóg jest również piérwszą jak i ostanią przyczyną rzeczy, a lepiéj rzeczy poznać niemożna, jak z ich początku.

8. *D.* Z téj zasady, że w naszém pojęciu o Bogu, i tylko w tém pojęciu, leży pojęcie bytu koniecznego, słusznie zawnioskować można, że *jest* Bóg.

L. Dowód bytności Boga, wzięty z samego o Nim pojęcia, wynalazł o ile wiemy, Anselm Kantwareński arcybiskup, w dziele swojem *Contra insipientem.* Ten dowód rozbierali teologowie scholastycy, i sam Tomasz z Aquinu; Descartes zdaje się także, iż go zaczerpnął u Jezuitów. Ten dowód ma w sobie dosyć pieknych stron, lecz jest niedokładny i potrzebuje wiele dopełnienia. Jego kształt jest następujący:

Cokolwiek można wywieść z pojęcia o przedmiocie, to wszystko można téż przyznać temu przedmiotowi. Już z samego pojęcia o Bogu, jako najdoskonalszym i najpotężniejszym, wywnioskować można jego bytność. Więc Istocie naj-

wyższéj (Bogu) przyznać można bytność, czyli: Bóg istnieje. Tu za podstawę służy to pośrednie zdanie: Istota najdoskonalsza, czyli najwyższa, zawiera w sobie wszystkie doskonałości, więc i *bytność* (która także jest w liczbie doskonałości, bo więcéj znaczy istnieć, niżeli nie istnieć). Takie to jest Descarta dowodzenie. — Lecz można było, opuściwszy doskonałość, właściwiéj i ściśléj, tak prowadzić rozumowanie: Istota konieczna istnieje (czyli Istota, któréj essenciją (istotnością) jest byt, albo inaczéj — Istota sama z siebie — istnieje); Bóg jest taką istotą, więc Bóg istnieje. — Dowodzenia te dobre są, jeżeli tylko zgodzimy się na to, że: Istota najdoskonalsza, czyli Istota konieczna jest możebną, i nie ukrywa w sobie sprzeczności, czyli co na jedno wyjdzie, że: możebną jest istność taka, z któréjby wypadała bytność. Dopóki ta możebność dowiedziona nie będzie, doputy i bytność Boga — na drodze takiego dowodzenia — wykazaną nie będzie. I w ogólności pamiętajmy, że z okreslenia dopóty niemożna przenosić wniosku na przedmiot określony, dopóki nie będzie wiadomo, że określenie zawiera cóś możebnego (prawdopodobnego). Inaczéj, w razie ukrywania się w niém jakiéjkolwiek sprzeczności, wypadnie i wniosek opaczny. Dajmy n. p. że określoném jest A, którego określeniem jest zwiérz bezwzględnie konieczny; więc bytność tego A dowiodę w taki sposób: co jest bezwzględnie koniecznóm, to istnieje (na zasadzie pewnika logicznego), A jest bezwzględnie koniecznóm na zasadzie określenia), więc A istnieje! Co jednak jest fałszem, a dla czego? Oto dla tego, że to określenie (Żwiérz bezwzględnie konieczny) jest nieprawdopodobne —

Ale z tego rozumowania dowiadujemy się o tym szczytnym przymiocie Boga, że: skoro tylko jest możebnym, już tém samém istnieje — w innych przedmiotach nie jest wystarczającém dla dowiedzenia bytności ich, bo tam po dowiedzeniu możebności, trzeba osobno dowodzić, że ten przedmiot rzeczywiście istnieje. — Do dowiedzenia więc jeometry-

cznego bytności Boga, pozostaje tylko jeometrycznie dokładne dowiedzenie Jego możebności. Przytem sama ta myśl (że tak mała zostaje reszta do dowiedzenia) już wielkie rzuca światło i podporę na pojęcie o bytności Boga. O saméj zaś konieczności jakiegoś przedmiotu, przekonać się można i zkąd-inąd, a mianowicie z tego, że znajdują się jego cechy przyległe (contingentes).

9. *D.* Biorąc pod uwagę, iż mamy w sobie pojęcie o Istocie najdoskonalszéj, dochodząc przyczyny i zródła tego pojęcia, widząc jak ogromny jest jego zakres, padamy oczywiście na ten wniosek, iż tak wielkie pojęcie wlać w nas mogła tylko ta Istota, która sama jaśnieje pełnią wszelkich doskonałości: to jest Bóg, rzeczywiście istniejący.

L. Że mamy pojęcie o Istocie najdoskonalszéj, i że przyczyna tego pojęcia (t. j. Istota najdoskonalsza) istnieje, — co u Descarta stanowi drugi dowód bytności Boga — to jest jeszcze wątpliwsze, niż możebność Boga, zbijają ten dowód nawet ci, którzy Bogu nie tylko możebną, ale i rzeczywistą bytność przyznają. I ten nawet pomysł Descarta (gdzieindziéj wyrzeczony) nic tu nie nada, że my, mówiąc o jakiéj rzeczy, już tém samém że rozumiemy to co mówimy, posiadamy o niéj pojęcie. Bo często się zdarza, że my (w mowie) kombinujemy z sobą rzeczy sprzeczne, n. p. gdy mowimy o ruchu najspieszniejszym, który jak wiadomo jest niepodobnym, (a zatém nie możemy mieć o nim pojęcia); pomimo to jednak możemy o nim mówić, i zrozumiale. Już gdzie-indziéj dowiodłem, że my częstokroć niejasno pojmujemy to, o czém mówimy, i że nie możemy uznawać w sobie wyraźnie naszego pojęcia o przedmiocie, jeżeli tego przedmiotu doskonale i co się zowie adaequate nie pojmiemy. Atoli pewną jest, że pojęcie o Bogu *leży* w nas, bo pewną jest, że Bóg nie tylko możebnym jest, ale i rzeczywiście bytnym. Są też w nas i wrodzone poniekąd ideje, a cały udział zmysłów polega na tém, że one nasz umysł na te ideje naprowadzają.

10. *D.* Nie na przyczyny celowe (finales), lecz na przyczyny działające (officientes) zwracać należy uwagę w badaniu rzeczy stworzonych.

L. Owszem, ja sądzę, że ludzie i poznają częstokroć cele czyli zamiary boskie, i powinni zwracać na nie uwagę, bo inaczéj będzie to cóś podejrzanego i niebezpiecznego. I w ogóle, widząc, że jakaś rzecz wielkie przynosi korzyści, śmiało zawyrokować można, że Bóg w utworzeniu jéj, ten pomiędzy innemi miał zamiar, aby te korzyści dopiętemi zostały. (To jest: że cel w każdym przedmiocie dopina się nie machinalnie, na drodze czystego wypadku z przyczyny działającéj, ale że w tym samym przedmiocie obmyślany jest i zawarty cel ostateczny. Gdzieindziéj dowiodłem i przykładami objaśniłem, że ze stanowiska na przyczyny celowe można odkryć wiele tajemniczych prawd fizycznych, których przez samą przyczynę działającą wywieść niepodobna. (*)

11. *D.* Dwa tylko u nas jest ogólnych rodzajów myślenia: pojęcie, będące działaniem rozumu i chcenia, będące działaniem woli. Bo czuć, rozważać, i czysto rozumieć, są to tylko różne doby pojmowania, jak nawzajem: pragnąć, mieć wstręt, twierdzić, przeczyć, i wątpić, są różne doby chcenia. Do sądzenia potrzebny jest rozum i pojęcie, ale przytém i chęć, aby do pojęcia przedmiotu przyłączyło się zgodzenie nasze. Chociaż nie zawsze na dokładnie pojętą rzecz zgadzamy się, ale niekiedy téż i na rzeczy ciemne. Pojęcie jest nader ograniczone, wola prawie nieograniczona, może częstokroć rozciągnąć się daléj niż pojęcie; wtenczas to właśnie błądzimy.

L. Żeby błędy miały wynikać bardzéj z woli, niż z rozumu, nie sądzę. Czy mamy wierzyć prawdzie czy fałszowi,

---

(*) Zobacz Acta Eruditorum Lips. 1682 op. om. III Nr. IX p. 145 i daléj.

czy mamy wiedzieć czy błądzić, to zależy od uznania albo od pamiętania pojęć i względów; ale zupełnie nie od woli, chyba wpływem ubocznym, kiedy czasem pomimo wiedzy, zdajemy się, powodowani chęcią, widzieć dowiedzioném i uzasadnioném to, czego nam się żąda. Tu więc sądzimy nie dla tego, że chcemy tak sądzić (bo któżby się chciał rozmyślnie i samowolnie łudzić) ale że się nam (zaślepionym) tak wydaje. A co się tyczy zdania Descarta: jakoby zakres woli był obszerniejszym niż rozumu, w tém więcéj dowcipu niż prawdy. Nie mamy woli w niczém, czegoby rozum nie dostrzegł. Źródło błędów jest tutaj toż samo, co i w rachunku. U arytmetyków główna sprawa polega na rachunku. Często bowiem przez brak uwagi albo pamięci, liczymy to, co niepotrzebne, albo omijamy potrzebne: zdaje nam się, żeśmy zrobili co się w istocie przeoczyło, lub żeśmy nie zrobili tego, co w istocie zrobione, ztąd więc znaki niewłaściwie w rachunku są bez potrzeby, właściwych zaś niéma (a rachunkowi tu odpowiada rozumowanie), skąd przeskoki, zamieszanie w metodzie i t. d. Bo umysł nasz, znużony albo roztargniony nié ma należnego baczenia, i nie zwraca dostatecznéj uwagi na działania swoje, albo przez brak pamięci bierze za dowiedzione kiedyś to, co tylko było często, powtarzam, albo jako gorąco upragnione utkwiło głęboko w żądzy. Tutaj środek jeden i ten sam co w rachunku, to jest uważać na treść przedmiotu i na formę, powtarzać działanie i zmieniać, zarządzać rozbiory i próby, dłuższe rozumowia przedzielać na części, aby tym sposobem umysł miał sposobność odpoczęcia, i te części oddziałowemi próbami prostować.— A ponieważ czynność wymaga niekiedy pośpiechu, ważną więc jest rzeczą, wyrobić w sobie przez nałóg przytomność umysłu; jak ci, co wśród zgiełku i licznego zgromadzenia, wielkie odbywać mogą rachunki, i to z pamięci, dla tego że ani zmysły, ani zewnętrzne wrażenia, ani własne czucie nie mogą zachwiać téj przytomności ich umysłu, że ten umysł zawsze wznosi się nad przedmiot i zachowuje siłę uwagi, czyli, jak

mówią, uznawania się (reflexio), że zawsze musi sobie powiedzieć: „uważaj co czynisz', a spiesz się, bo czas upływa.“ Niemcy bardzo starannie nazywają to „sich begreifen“ a Francuzi „s'aviser“ niby: ostrzegać siebie samego, mieć nad sobą przewagę, podpowiadać sobie, jak kiedyś nomenklatorowie kandydatom rzymskim imiona obywateli, których sobie ujmować należało, albo jak szeptacz w komedyi pierwsze wyrazy roli aktorowi, albo jak ów młodzieniec Filipowi: „pamiętaj żeś śmiertelny.“ Samego zaś siebie przestrzegać, *s'aviser*, nie jest we władzy naszéj, ani zależy od woli; tu trzeba zapobiedz umysłem, co zawisł od obecnego stopnia naszéj doskonałości. Od woli zależy usiłować całą mocą, aby umysł był dokładnie przygotowanym, a to za pomocą cudzych przykładów i kolei, albo téż i przez użycie właściwych (byle bez szkody albo z małą), tudzież przez wprawianie go w trwałe i porządne myślenie, aby potém, czego potrzeba, samo niejako przychodziło. Czasem zapewne niewinnie cóś wpadnie albo wymknie się przez brak pamięci lub zdolności, i to jest nietyle błędne, jak raczéj niewiadomością, nad czém tu niestosownie byłoby, rozwodzić się, bo nie sposób wszystko to wiedziéć i pamiętać, cobyśmy chcieli. Dosyć tu wspomnieć o niedoskonałości uwagi i pamięci, i potrzebach ostrożności w ponawianiu i przerabianiu rozumowań, w niedowierzaniu sobie szczególniéj co do przeszłych, dawno (i to niekiedy w mniemaniu tylko naszém) nabytych pojęć. —

12. *D.* Najwyższa doskonałość natury naszéj polega na tém, że działamy swobodnie, czyli podług woli, tym sposobem stajemy się godnymi chwały lub zarzutu.

L. Doskonałość człowieka równie na swobodném jak i na *rozumném* działaniu polega, albo raczéj oba te względy, są jedno i to samo; bo człowiek tém jest wolniejszy, im mniéj jego rozum krępuje popędy namiętności.

13. *D.* Wiadomą jest rzeczą i do wrodzonych pojęć to

odnieść należy że: w naszéj woli leży swoboda przyjmowania lub odrzucania sądu.

L. Pytać się, czy w naszéj woli jest swoboda, jest to pytać się, czy w naszéj woli jest wola. Wolność i swoboda, jest jedno i toż samo. Bo wolném jest to, co jest swobodném; rozumieć a chcieć, jest to czuć popęd do czynu z pobudek rozumem pojętych; im zaś czystszym jest rozum i mniéj zmąconym wpływami namiętności zwierzęcych i ciemném pojęciem, tém czyn jest swobodniejszym. Wstrzymywać go, nie jest rzeczą woli, lecz rozumu, zwracającego na siebie baczenie (jak wyżéj nadmieniłem).

14. *D.* Ponieważ uznajemy w Bogu tak ogromną potęgę, iż wszystkie nasze czyny, chociaż na drodze wolnéj woli objawione, do niego odnosimy, jako do źródła w którém znajdują się zasady tych czynów (praeordinatio), przeto w pogodzeniu naszéj wolnéj woli z potęgą bezwarunkową Boga, łatwo się możemy zawikłać. Dla uniknienia tego, winniśmy pamiętać, że nasz umysł jest ograniczony, Boga zaś potęga urządzająca czyny (praeordinatio) jest nieskończona, a zatém i wolę naszę w sobie zamyka, jako część w całości ograniczoną, i że tém samém wola nasza obok téj potęgi istnieć może w nas, całkowicie, z uszanowaniem.

L. Gdyby kto zapewniony o tém, że Bóg wszystko naprzód urządza, a on jednak (człowiek) jest wolnym, usłyszał zarzut, że w jego zdaniu znajduje się sprzeczność oczywista, i chciał się wytłumaczyć słowami Descarta: „że on (człowiek) jest ograniczoną istotą, a Bóg nieograniczoną, na ówczas przeciął-by węzeł, ale nie rozwiązał. (Ale sam Lejbnic tu właśnie w najżywotniejszém zapytaniu opuszcza pióro, odpowiada tylko ujemnie, ze strony logicznéj uderza na Descarta, a sam.... milczy! Pogodzenie woli człowieka z potęgą najwyższéj Istności, jest to, można powiedzieć, najważniejsza perła w koronie tajemnic ducha. Temu zapytaniu można nadać następujące brzmienie: jakim sposóbem, wszystkie po

jedyncze kroki nasze, będące widocznie dziełem i wypływem naszego dobrowolnego namysłu, naszéj woli, też same kroki, szczegółowie, ogółem swoim ciężyć mają do wyższéj siły, a zatém, jak mogą być zarazem i wolnemi i zależnemi? Przystępujcież filozofowie do tego zapytania, przystępujcie z wiarą i z nadzieją, że błąd nie jest przeznaczeniem człowieka).—

15. *D.* Substancija jest to rzecz, która tak istnieje, iż żadnéj innéj do istnienia nie potrzebuje. A zatém imie substancyi nie odnosi się w równém znaczeniu do Boga i stworzeń, gdyż te nie mogą istnieć bez udziału Boga. Ciało i dusza są substancijami, o ile do istnienia ich potrzebny jest jeden tylko udział — Boga. Rozciągłość w zdłuż, w szerz, i na głębokość, stanowią główną naturę substancyi cielesnéj; a myślenie naturę substancyi myślącéj (duchowéj).

L. Nie wiem czy do jakiegokolwiek ze znanych nam substancij nadane tutaj określenie (że tylko Boga udziału potrzebuje do swego istnienia) zastosować się może. Bo nie tylko potrzebujemy innych substancij, ale nawet i przyległości (accidens). Gdy więc substancija i przyległość nawzajem jedna drugiéj potrzebują, inną więc należało wynaleść cechę, odróżniającą substanciją od przyległości. Pomiędzy temi cechami mogłaby się znajdować i ta: że chociaż substancija potrzebuje pewnéj przyległości, lecz często nie potrzebuje jednéj stałéj i oznaczonéj, i po jéj usunięciu może przybrać drugą; zaś przyległość (można tu nazwać przymiotem) nie tylko potrzebuje pewnéj substancyi, ale owszem téj saméj, w któréj jest zawartą, a nie innéj. Zresztą można-by jeszcze wiele rzeczy pod głębszy wziąść rozbiór, natury substancij dotyczących, ale o tém w inném miejscu powiemy.

Że rozciągłość określa ogólną naturę substancyi, to zdanie słyszałem utrzymujących wielu i z wielką wiarą, ale nikogo dowodzącego; atoli, ani ruch, t. j. czynność, ani opór, t. j. stan bierny ciała, ztąd się wyprowadzić nie dadzą, ani prawa natury, które dostrzegamy w ruchu i zbiegu ciał, nie

wypływają z saméj-li tylko rozciągłości, jak'em tego już gdzieindziéj dowiódł (*). Nawet pojęcie rozciągłości nie jest piérwotne, lecz pochodne i dające się rozłożyć, bo w rozciągłości domyślać się należy, że jest ciągłość (continuum), tém samém zawierającéj już w sobie wielość; daléj domyślać się należy *czegoś*, co-by miało ciągłość i rozciągłość, (jak n. p. w mleku jest białość, w ciele zaś to, co stanowi jego materijał) otoż powtórzenie tego materijału, téj treści, jest rozciągłość. Zgadzam się w tym razie całkiem z Hugienem (którego badania naturalne i matematyczne w wysokiéj u mnie są cenie), że pojęcie rozciągłości, jest toż same, co i próżni; ani sama ruchomość i opór ciała nie da się wyprowadzić z rozciągłości, lecz z przedmiotu rozciągłości, który nie tylko stanowi miejsce ale je i napełnia.

Nie przypominam sobie aby autor, albo który z jego uczelni, dowiódł jasno, że substancija myślenia, obejść się może bez substancyi rozciągłości i nawzajem, aby się ztąd okazało, że jedna cecha nie pociąga za sobą drugiéj w jednym i tymże przedmiocie, i że z nią w tym przedmiocie współistnieć nie może. Nie dziw więc, że autor *dzieła o badaniu prawdy* (Mallebranche) zauważył, że u Descarta niéma nigdzie skreślonego pojęcia myślenia, nie dziw téż, że żaden z dekartystów nie umie odpowiedzieć, co się w niém (w pojęciu) ukrywa. Wszakże wiadomo jest, że duch i materija różnią się od siebie całkowicie, rodzajowo, co kiedyindziéj rozwiniemy jaśniéj.

16. *D.* Tłem wszelkiéj własności, jakąby ciału przyznać można, jest rozciągłość; własność oznacza tylko pewną dobę, albo cechę (modus) przedmiotu rozciągłego, również wszystkie zjawiska umysłowe, są tylko dobami myślenia.

(*) Lettres sur la question si l'existence du corps consist dans l'étendue. Journal d. Savans 1691.

L. Pojmować myślenie i rozciągłość samą substancíją myślącą i rozciągłą, jest podług mnie, przeciwném prawdzie i słuszności. Zamach ten jest podejrzany, równie jak owo zdanie, co nakazuje: uważać rzeczy wątpliwe za fałsze. Przez takie nakręcanie umysły zaprawiają się do uporu i dziwactw paralogicznych.

17. *D.* Uczucia nasze, żądze, chucie, możemy pojmować jasno, jeżeli strzedz się będziemy, abyśmy o nich sądzili, (i nic więcéj nad to), co się w naszém o nich pojęciu zawiera, i owszem mamy uznanie wewnętrzne — strzedz się téż należy, abyśmy rzeczy zewnątrz umysłu leżących nie brali za podobne tym pojęciom, które o nich mamy. To się stosuje n. p. do kolorów: jeżeli ci się ten przedmiot *wydaje* niebieskim, nie sądź, aby on w sobie (objective) był takim).

L. Chwalebne są usiłowania Descarta, zmierzające do tego, aby wykorzenić fałszywe mniemanie, jakoby cieplik, kolory i inne zjawiska tego rodzaju, zewnątrz nas istniały, kiedy przecież wiadomo, że tejże saméj ręce, ciało gorące niby zrazu, po chwili wydaje się letniém tylko; a kto w mięszaninie prochowéj widział kolor zielony, ten uzbrojoném okiem (przez szkło) widzi już nie zielony, ale mieszaninę żółtego i błękitnego, a przy lepszém jeszcze uzbrojeniu, i przez inne doświadczenia, natrafi na przyczynę tych dwóch kolorów. Podobni najczęściéj bywamy do dzieci, którym się z laje, że widzą na samym końcu tęczy złoty talerz, przytykający do ziemi, i gonią za nim nadaremnie. A przecież nie bez zasady mówimy, że ciała mają kolor i cieplik, jeżeli tylko pojmujemy podstawę tych zjawisk.

18. *D.* Główna przyczyną błędów leży w przesądach dzieciństwa naszego; drugą przyczyną jest to, że nie możemy przesądów, nabytych w dzieciństwie, zapomnieć; trzecią jest to, iż konieczność ciągłego uwidocznienia sobie przedmiotów, pod zmysły nie podpadających, osłabia w nas potęgę uwagi, przeto sąd o rzeczach zwykliśmy często opierać nie na obecnych po-

jęciach, ale na poprzednich; czwartą i równie ważną przyczyną błędów naszych jest język, w którym wyrazów, nie odpowiadających znaczeniu pojęcia, używamy.

L. O przyczynach błędów mówiłem już wyżéj. Tam przytoczone uwagi mogą być i do tego miejsca zastosowane. Albowiem przesądy z wieku dziecinnego prowadzą do przyjmowania zdań niedowiedzionych, znużenie odejmuje siły uwadze, a wątpliwość mowy sprowadza nadużycie, albo niestosowne użycie znamion, i tym sposobem wykrzywia formę pojęcia; jest to toż samo, co jak niesie przysłowie niemieckie, gdyby kto w liczbie zamiast V położył X, albo gdyby aptekarz na recepcie zamiast *sanguis draconis*, przeczytał *sandaracum*.

19. *D*. A zatém dla wstąpienia na pole filozofii i badania prawdy wszechrzeczy, trzeba się naprzód pozbyć wszelkich przesądów, żadnym zaś poprzednio nabytym sądom nie wierzyć, aż po ostateczném dowiedzeniu, że są prawe. Daléj z porządku przystąpić należy do rozbioru naszych pojęć, i tylko takie przyjmować, które się nam jaśnie i dokładnie poznać dadzą; te dopiéro porównywając z tém, co się pierwéj napółciemno w naszym umyśle malowało, nawykniemy do tworzenia sobie jasnych wyobrażeń. Przedewszystkiem atoli więcéj objawieniu boskiemu, jak wsłasnemu sądowi ufajmy.

L. Należy się, podług mnie, oddać sprawiedliwość Starożytnym, i ich zasług, niewdzięczném, dla samych nas szkodliwém milczeniem nie znieważać. Zasady, podane przez Arystotelesa w logice (jego), jakkolwiek nie poprowadzą może do odkryć, ale przynajmniéj do sądzenia, szczególniéj gdzie idzie o potrzebne następstwo, wystarczają; dobrze téż jest (ma tu Lejbnic na myśli ogólniki Arystotelesa) dla następstw w rozumowaniu mieć niejako matematyczne przepisy, raz na zawsze ustalone. Sam już nadmieniłem, że kto w rozumowaniach poważnéj treści dopuszcza się wykrętów, ten koniecznie i w saméj formie logicznéj musi popełniać fałsze, cho-

ciaż się tego zwykle nie dostrzega. Dla uniknienia więc błędów wszelkich, nic lepszego, jak zachowywać stale i z surowością, najpospolitsze prawidła Logiki. Ponieważ jednak warunki życia i powikłanie przedmiotów rozmaitych, nie dozwolą takiéj zwłoki i powolności, przeto w naukach i w działaniu, używamy zwykle pewnych oddzielnych form, które przy rozbieraniu przedmiotu, przez owe ogólne zasady, wyjaśnione być winny. Tak właśnie Euklides ma swoję pewną Logikę o zwrotach, rozdziałach, złożeniach, która w osobnéj do tego książce wyłożona, roztacza się i panuje w całéj jego Jeometryi. A tak razem dwom względom: zwięzłości i pewności, uczyni się zadosyć; im zaś więcéj jest podopnego rodzaju zapasów, tém nauka wyżéj jest rozwiniętą. (W dalszym ciągu Lejbnic rozbiera zasady fizyczne Descarta, o czém w przyszłości doniesiemy).

Lublin 26 *Sierp.:ia* 1844 *r.*

Feliks Jezierski.

WYSPA

CZYLI

CHRYSTYAN I JEGO TOWARZYSZE.

(przekład z lorda Byrona).

(Dokończenie).

VIII.

Neuha wzięła Torkwila za rękę, a w drugiéj
Trzęsąc pochodnię, która światła leje strugi,
W każdą tajną kryjówkę, daleką czy bliską,
Wiodła go, i wskazała ich nowe siedlisko.
I nie to tylko, wszelkie tu zapasy były,
Co jéj los spólny z losem kochanka słodziły;
Na odzież tkanki świéże, rogóż do posłania;
Płyn sandałowy, co od wilgoci ochrania;
Na pokarm są kokosy i owoc chlebowy
Z drzew zbiérany; a stołem dla nich liść figowy,
Szeroko rozpostarty; morski żółw' zabity,
Dał naczynie, a potém objad wyśmienity;
Świéża woda zdrojowa jest w czaszy tykwianéj,
Z pochyłego pagórka dojrzałe banany;
Stos pochodni, by jedna ciągle przyświécała,
A oto sama, jak noc urocza, wspaniała,
Rozlewa na widownię jakiś odblask ciemny,
I wypogadza mile ten ich świat podziemny.

Jak tylko obca flota do wyspy przybiła,
Czuła ona, że chybi ucieczka lub siła,
Zamierza więc w jaskini swojéj pod skałami
Skryć bezpiecznie Torkwila przed jego ziomkami.
Co dzień o świcie płynie tu w leciuchnéj łodzi,
Niosąc złote owoce, które ziemia rodzi;
I codzień mknie po fali o wieczornéj porze
Z tém, co szklistą ich grotę uprzyjemnić może;
A teraz zasób mały z uśmiéchem odkrywa,
Ta przyjaznych wysp córa wesoła, szczęśliwa.

IX.

Gdy to mile go dziwi, z całą siłą ona
Ocaloną swą miłość przyciska do łona,
I, zgodną z pieszczotami, opowiada sławną,
Starą powieść miłosną, — bo miłość jest dawną,
Dawną jak wieczność, lecz nie obca dla nikogo,
Znana wszystkim co żyją, lub zrodzić się mogą. (*)
Tysiąc księżyców temu, jak pewny wódz młody
Za żółwiem się w głębokie zapuszczając wody,
Doszedł, gdy za połowem gonił zapalony,
Do jaskini skalistéj, ze wszech stron zamknionéj.
Jako w nieszczęsnéj zwadzie w dalszych latach życia,
Taił córę téj ziemi śród tego ukrycia,
Miłą jemu, lecz strony nieprzyjaznéj plemie,
Brankę mającą znosić złéj niewoli brzemie;
Jak gdy ucichła burza, już po wojnie całéj,
Wiódł zastępy swéj wyspy tam, gdzie modre wały

(*) Czytelnik przypomina sobie dwuwiersz z Antologii greckiéj, lub jego przekład na wszystkie prawie nowożytne języki: —

Ktokolwiek jest, on twym panem wszędzie,
Był, lub jest teraz, albo kiedyś będzie.

Po skalnéj bramie toczą swe cienie wspaniale,
Dał nurka — jakby nie miał już wypłynąć wcale:
Myślą zdumieni ludzie, co w łodzi czekali,
Że oszalał, pies morski pożarł go śród fali;
Okrążyli więc skałę oblaną wodami,
Potém smutni przestali uderzać wiosłami,
Aż ujrzeli, jak w głębi, hoża i wspaniała
Bogini wstaje — taką zlęknionym się zdała.
Przy jéj boku towarzysz dumny, zachwycony,
Chlubił się z wód dziewicy, swojéj narzeczonéj:
Jak, z błędu wywiedzeni, z obojgiem wrócili,
Bijąc w muszle, śpiewając w tak radosnéj chwili;
Jak słodko żyli, cicho na wieki zasnęli,
A czemużby tak Neuha i Torkwil nie mieli?
Nie wspomnę tu, jak dzikie pieszczoty, zapały,
Po téj powieści, w dzikiém ustroniu nastały;
Dość, że miłością było to wszystko co w sobie
Kryło ciemne podziemie, jakó w owym grobie,
W którym od lat dwudziestu wpadłszy w sen głęboki,
Abelard, gdy spuszczono Eloizy zwłoki
W ich małżeńską sypialnię, podnosząc swe dłonie,
Tulił ciepłe popioły na rozgrzaném łonie. (*)
Ciche przy ich pościeli wody, szumu fali
Nie słyszą obojętni, jakby żyć przestali;
Dla ich serc tu się wszystko w miły dzwięk zamienia,
Przerwane szepty lube i ciężkie westchnienia.

A sprawcy i spólnicy ich niedoli całéj,
Przez którą wygnańcami są téj próznéj skały,

(*) Z dziejami życia Eloizy łączy się podanie ludu, że gdy ciało jéj spuszczano do grobu Abelarda, pochowanego już od lat dwudziestu, ten wyciągnął ręce swoje na jéj przyjęcie.

Gdzież są? chronią się z życiem na morskiéj topieli,
Niech ich niebo ochroni, gdy ludzie nie chcieli.
Pędzą więc w drugą stronę — lecz dokąd zawiną?
Po wodach oni płyną, i wrogi ich płyną,
Bo, gdy ich smuci piérwsza utrata doznana,
Ponawiają swój zapęd, ścigają Chrystyana.
Raźno, z gniewem i siłą, przebywają drogę,
Jak sępy w piérwszym łowie zawiedzione srogie;
Doganiają, gdy tamci nie skryją się wcale,
Chyba w jakiéj zatoce, lub na groźnéj skale,
Nie mają co wybiérać, nic im nie zostaje.
Ku piérwszéj skale, co się w dali widzieć daje,
Dążą, raz jeszcze ujrzyć ziemię pragną skrycie,
I poddać się, lub walcząc zakończyć to życie;
Odprawili z ich statkiem mieszkańców téj ziemi,
Co teraz nawet chcieli bić się wspólnie z niémi;
Lecz wrócili do brzegu, to Chrystyana rada,
By nie zwiększać ofiary, która nic nie nada;
I cóż zdziała łuk prosty albo oszczep dziki
Przeciw orężom, które mają wrogów szyki?

XI.

Ku wąskiéj, dzikiéj skale ich łódka przybija,
Gdzie prócz przyrody noga nie była niczyja;
Dobyli broń, i z okiem w którem smutek gości,
Zasępioném, gdy widzą się w ostateczności,
Gdy i nadzieja znikła, i sława nie mami,
Nie zachęca do walki z śmiercią lub więzami, —
Stoją we trzech, jak trzystu w swojéj ufnych sile,
Co krwią świętą skropili niegdyś Termopile.
Lecz niestety! jak różni! *sprawa* wszystko znaczy,
Uświęca lub potępia zgon mężnych w rozpaczy.

A sława wiecznotrwała nie świéci im z góry,
Nie wabi ich ku sobie pośród zgubnéj chmury;
Uśmiechając się we łzach , im wdzięczna ojczyzna
Pochwał, co by tysiące lat brzmiały, nie przyzna;
Żaden naród swém okiem w ich grób nie przenika,
Nie pozazdrości żaden im rycerz pomnika;
Choćby krew swą przelali w odwagi zapędzie,
Ich życie hańbą — wina ich nagrobkiem będzie.
I oni wiedzą o tém, przynajmniéj jedynie
Czuje to wódz, co zgubę przyniósł swéj drużynie;
Który pewnie stworzony do dzieł w lepszym bycie,
W grze niezaczętéj jeszcze stawił na los życie.
Lecz już miano kość rzucić, i zda się w téj chwili,
Że wszystko się na jego upadek przychyli,
Jeszcze taki upadek! lecz stawi krok śmiały,
Czeka na cios. — nieczuły, jakby część téj skały,
Gdzie stoi — mierzy strzelbą, i wlepia swe oczy,
Ponury jako chmura, co blask słońca mroczy,

Przybił statek, w nim ludzie stali w swym zamiarze,
Wszystko działać gotowi, co powinność każe;
Niedbali na przygody, jak nie dba wiatr srogi,
Że liściem miota, przeszłéj nie uważa drogi.
Jednak pewnieby oni z wrogiem swojéj ziemi
Woleli staczać boje, niż z ziomkami swémi;
Czują, że ten, który się własnym zgubił czynem,
Choć już nie jest, lecz kiedyś był Brytanii synem.
Wołają, by się poddał — odpowiedzi niéma;
Więc mierzą, każdy w ręku lśniący oręż trzyma.
Znów krzyczą — ani słowa; „Poddaj się!" głos trzeci,
Silniejszy od dwóch piérwszych, w ową stronę leci.

Tylko echa na wyzew odbiły od skały,
Wrzasnęły i niknące brzmienia pożegnały.
Szczękła stal, płomień buchnął, strzał chyży wybiega,
I przestrzeń między niemi czarny dym zalega,
Trzęsą się skały, kule z świstem i gruchotem
Próżno lecą, płaszczą się, i padają potem;
Tamci jedne odpowiedź im dali w téj chwili,
Gdy w niebie i na ziemi nadzieję stracili.
Po tym gromie, już zastęp daléj się pomyka,
Słyszy jak Chrystyan „Teraz dać ognia!“ wykrzyka,
I nim zamilkły słowa powtórzone w dali,
Dwóch padło, inni stromą skałę oblegali,
A gniewni że wróg wściekły kule na nich ciska,
Nie dbają o nic, byle z nim ścierać się zbliska.
Lecz nigdzie ścieszki niéma, tak spadzisto wszędzie,
Co krok to nowa baszta wstrzyma ich w zapędzie;
Gdy stojąc śród rozpadlin niedostępnych wcale,
Które Chrystyan tak dzielnie obrał na téj skale,
Trzech poddać się niechcących wytrzymują boje,
Tam, gdzieby orzeł gniazdo mógł założyć swoje.
Każdy ich strzał nie chybia, napastników strąca,
Tłuką się na urwiskach, jak muszla świécąca;
Lecz dość ich żyje jeszcze, z téj i owéj strony
Wdziéra się na wyżynę poczet rozproszony,
Aż okrążona, choć nie dość bliska niewoli,
Dość jednak bliska śmierci w swéj nieszczęsnéj doli,
Broni swych losów trójka odważna w rozpaczy,
Lecz słabo, jak pies morski kiedy się zachaczy;
A przecież do ostatka wybornie walczyli,
Ni jęk nie dał znać wrogom, *kto* ginął w téj chwili:
Chrystyan poległ ostatni, od dwukrotnéj rany,
Znów mówią mu o łasce, gdy on krwią zbryzgany,
Późno dla życia, lecz nie późno by na wieki
Zasnął, gdy choć dłoń wroga zamknie mu powieki.

Strzaskaną mając nogę, upada wzdłuż skały,
Jak za młodu wyjęty z gniazda sokół mały.
Zgiełk ożywia go, znowu zapałem tchnie dusza,
Chcąc wyrazić swe czucia, mdłą ręką porusza;
Tym znakiem nadchodzących do siebie przyzywa,
Ale gdy się zbliżyli za broń swą porywa —
Czém nabić, gdy ostatnia kula już zużyta?
Lecz on za piérwszy guzik u swéj sukni chwyta, (*)
Rwie, wpuszcza w otwór, mierzy, strzela i zabija,
Śmieje się, że wróg pada, a potém, jak żmija,
Pełza ranny, osłabły, gdzie pochyła skała,
Równie jak on w rozpaczy w głębię się spuszczała;
Patrzy za siebie, pięścią ściśnioną uderza,
I na ziemię swą wściekłość ostatnią wymierza;
Pada, stłukł się do szczętu — u spodu skał łono
Przyjmuje jakąś bryłę, niekształtną, skrwawioną;
Z człowieka ledwie czaszka pozostała jaka,
I strawa dla robaków lub morskiego ptaka;
Jeszcze krew z jego głowy pięknowłoséj płynie,
Kurzy się, świadcząc o nim i o jego czynie;
Jeszcze szczątki oręża (albowiem swéj broni,
Dopóki mógł utrzymać, nie wypuszczał z dłoni)

(*) W *Opisie życia Fryderyka II Króla Pruskiego* przez Thibault'a, szczególniejsza znajduje się wiadomość o młodym jednym Francuzie, który, jak się zdawało, wraz z swoją kochanką z wyższego musiał być rzędu. Zaciągnął się on do wojska i zbiegł pod Swidnicą; a stawiając opór, do jakiego rozpacz go przywiodła, został ujęty; wprzód atoli officera, który usiłował pojąć ranionego, zgładził wystrzałem z muszkietu, nabitego *guzikiem* od munduru. Stawiony przed sąd wojenny, niektóremi okolicznościami wielce zajął sędziów, którzy pragnęli zbadać istotne jego położenie, co właśnie przyrzekł on wyjawić, ale tylko *Królowi*, i prosił, aby mu pozwolono pisać do tegoż. Nie przychylono się do jego żądania, o czém usłyszawszy Fryderyk, nadzwyczajnie się oburzył, czyli to dla niezaspokojonéj ciekawości, albo też dla innego powodu. — Patrz dzieło Thibault'a, tom II. — (Przytaczam z pamięci.)

Lord Byron.

Lśnią się o kilka kroków — rzucone by w dali,
Pordzewiały od rosy i nadbrzeżnéj fali.
Reszta zaś niczém — tylko życie źle spędzone,
I dusza — lecz któż powie w którą poszła stronę?
Mamy chować umarłych, nie sądzić; kto srodze
Skazuje ich na piekło, sam jest na téj drodze,
Chyba nie zechce niebo karami wiecznémi
Dotknąć złych serc, bo głowy takich są gorszémi.

XIII.

I już wszystko skończone! Jedni się rozbiegli,
Skryli się, tych schwytano, tamci w boju legli.
Gdzie dawniéj wraz z innemi tak zaszczytnie stała,
Dziś w więzach na pokładzie jęczy garstka mała
Nieszczęsnych, którzy walkę na wyspie przeżyli,
Lecz na skale i śladu niéma od téj chwili.
Leżą gdzie padli, pastwa skrwawiona, obrzydła,
A nad niemi trzepocą morskich ptaków skrzydła,
Które nad wodą krążąc, spuszczają się z góry,
I głodne nucą śpiéw swój żałobny, ponury;
Lecz u spodu nieczułe na los ludzki fale,
Toczą się wiecznym ruchem cicho i niedbale;
I delfiny igrają, rybka latająca
Lśni się na słońcu, skrzelą w powierzchnie wód trąca,
Aż, gdy wyschną jéj skrzydła, upada by potém,
Sił nabrawszy, powtórnym bawiła się lotem.

XIV.

Nadszedł ranek; a Neuha, co w świtania porze,
By zobaczyć wschód słońca, wypływa na morze,

Czy co do wodnoziemnéj nie zbliża się skały,
Gdzie spoczywa jéj luby; widzi żagiel biały,
Jak szerzy swą objętość, gdy go wiatr rozpina,
Jak szeleści — w niéj oddech tłumić się zaczyna,
Jéj serce mocniéj bije, a dręczona trwogą
Nie wie dokąd popłynie, którą pójdzie drogą.
Lecz nie! on już nie wraca: wdali cień wysoki
Maleje sporym krokiem uchodząc z zatoki.
Otrze więc pianę z oczu i patrzy przed siebie,
Wlepia wzrok, jakby tęczę widziała na niebie.
Okręt schodzi z poziomu, już na samym brzegu
Zmniejsza się, małą plamką zdaje się w swym biegu —
I znika. Wszędzie radość, wszędzie same wody!
Znów się nurza w jaskinię gdzie spał jéj gość młody,
Mówi mu, co widziała, czego się spodziéwa.
I to co sobie wróży miłość tak szczęśliwa,
Wychodzi znowu na wierzch, zwolna Torkwil płynie
Za Nimfą pląsającą po morza równinie;
W koło skały tam dążą, gdzie ukryta była
W szczelinie łódka, co ją Neuha opuściła
Bez wiosła, i od wiatrów pędzona po fali,
W dniu, gdy ich cudzoziemcy od brzegu ścigali;
Lecz gdy ci zniknęli, ona swą łódkę dognała,
I skryła w miejscu, gdzie aż dotąd zostawała:
Żaden statek nadziei i miłości tyle
Nie nosił, co ta arka w błogie dla nich chw le.

XV.

Znów się brzeg własny przed ich rozwinął oczami,
Już go, choćby najmniejszy ślad wroga nie plami;
Okręt, to mórz więzienie, nigdzie się nad wody
Nie jeży: — tu nadzieja, tu lube zagrody!

Snują się po zatoce czółenek tysiące,
Witając ich przybycie, brzmią muszle dzwięczące;
Skupia się lud, starszyzna zbiérać się zaczyna,
I pozdrawia w Torkwilu wróconego syna;
A niewasty ściskają swą Neuhę kochaną,
Ciekawe pragną wiedzieć dokąd ich zagnano;
Jak uszli? Gdy to słyszą, jednozgodne głosy
Rozlegają się w koło, wzbijają w niebiosy;
Odtąd nowsze podanie zmianę czyni małą,
Gdy ten przybytek „Neuhi jaskinią“ nazwało.
Ognie wszędy goreją, których blask szeroki
Przyświéca wielkiéj uczcie, śród nocnéj pomroki;
Cieszą się, że po tylu wypadkach gość młody
Wrócił teraz na łono pokoju, swobody;
Po téj nocy dzień za dniem w takiém szczęściu płynie,
Jakiego świat dziecinny używał jedynie.

A. Zawadzki.

DODATEK

DO CHRYSTYANA.

Wyjątek z podróży Kapitana Blaja *(Bligh)*.

Dnia 27 grudnia wiał od strony wschodniéj wiatr dokuczliwy, od którego wieleśmy ucierpieli Bałwan wpadł na okręt i napełnił wszystkie łodzie. Kilka beczek piwa, zostawionych na pokładzie, rozbiegło się i rozlało na podłogę, i z niemałém niebezpieczeństwem i trudem mogliśmy ledwie zabezpieczyć łodzie od wypłynienia na morze. Znaczna ilość naszego chleba została uszkodzoną, i stała się nieużyteczną, fale bowiem przeniknęły do tylnéj części okrętu, i pokój wodą zalały.

Dnia 5 stycznia 1788 roku, ujrzeliśmy wyspę Teneryffę w odległości prawie dwunastomilowéj, a nazajutrz, w niedzielę, zarzuciliśmy kotwicę na drodze do Santa-Cruz. Tu opatrzyliśmy się w potrzebne zapasy, i skończywszy robotę odpłynęliśmy dnia 10.

Teraz podzieliłem ludzi na trzy straże, i zwierzchnictwo nad trzecią powierzyłem panu Fletczer Chrystyan, jednemu z towarzyszów. Zawsze to miałem za pożądane urządzenie, gdy na to okoliczności pozwalały, i przekonany jestem, że nieprzerwany spoczynek, nie tylko przykłada się wiele do zdrowia czeladzi okrętowéj, ale zdolniejszymi ich czyni do chętnego działania w nagłych i nieprzewidzianych wypadkach.

Życząc sobie płynąć do Ottahajty bez zatrzymywania się, zmniejszyłem porcije chleba do dwóch-trzecich części, a wodę do picia kazałem przepuścić przez czyszczące kamienie, zakupione w tym celu na Teneryffie. Teraz uwiadomiłem ludzi okrętowych o zamiarze żeglugi naszéj, i zapewniłem każdego o niezawodném postąpieniu wyżéj, gdy usiłowania ich zasłużą na to.

We wtorek 26 lutego, znajdując się na 29° 38' północnéj srzerokości, a 44° 44' długości zachodniéj, rozpięliśmy nowe żagle, i poczyniliśmy inne potrzebne przygotowania do spotkania się z zmienną pogodą, któréj trzeba się było spodziewać w takiéj szerokości. Odległość nasza od brzegu Brazylii była około 100 mil.

W niedzielę przed południem, 2 marca, po przejrzeniu, że każdy był czysto ubrany, odbyła się msza święta, — taki bowiem nieprzerwany w tym dniu zaprowadziłem zwyczaj. Panu Fletczer Chrystyan, któremu poprzednio zleciłem objęcie zwierzchnictwa nad trzecią strażą, wręczyłem rozkaz na piśmie do działania jako mój pomocnik.

Wkrótce zmiana stanu powietrza dała się czuć dotkliwie; aby ludzie nie cierpieli z własnego niedbalstwa, zaopatrzyłem ich odzieniem grubszém, jako stosowniejszém do klimatu. Dnia 11 widziano znaczną liczbę wielorybów niezmiernéj wielkości, z dwoma otworami do wypuszczania wody w tylnéj części głowy.

W skutek skargi wniesionéj przez starszego, uznałem za rzecz potrzebną ukarać Mateusza Quintal, jednego z majtków, 24ma plagami, za zuchwalswo i niesforne postępowanie, piérwszy to raz był powód do użycia kary na okręcie.

Odpłynęliśmy od przylądku St Diego, wschodniéj części Ziemi Ognistéj,, a gdy wiatr był pomyślny, uważałem za rzecz stosowniejszą okrążyć wschodnią stronę Ziemi Stanów, niżeli probować przejścia przez cieśninę le Maire. Minęliśmy port Nowego Roku i przylądek S. Jana, a w poniedziałek, 31 dnia,

byliśmy na 60° 1' szerokości południowéj. Lecz wiatr zmieniał się i niestałą mieliśmy pogodę.

Burze z wielkiemi falami, trwały ciągle do 12 kwietnia. Okręt przesiąkać zaczął, i co godzina wymagał wylewania wody pompą; właśnie trzeba się było tego spodziewać, z nieustannego wiania burzliwych wiatrów i toczenia się wielkich bałwanów. Także na pokłady woda ciągle sączyła się, tak, iż wielki pokój na okręcie, którego mało i tylko w czasie pogodnym używałem, trzeba było przeznaczyć dla tych ludzi, którzy nie mieli pasów do zawieszenia swych łóżek, a tym sposobem przestrzeń między pokładami mniéj była zawalona.

Przy takiéj niepogodzie mieliśmy dodatkowe zmartwienie, znajdując przy końcu dnia każdego, żeśmy się oddalali od lądu; gdyż mimo największe usiłowania nasze i zatrzymywanie okrętu najmocniejszémi linami, byliśmy przecie pędzeni od wiatru. We wtorek 22 kwietnia, mieliśmy ośmiu na liście chorych, a inni ludzie, chociaż przy dobrém zdrowiu, wielce byli strudzeni; lecz z wielkim dla mnie smutkiem widziałem, że niepodobna było tą drogą przejść do wysp Towarzyskich, już bowiem przez dni trzydzieści płynęliśmy po wzburzonym oceanie. Tak więc tyle już upłynęło téj pory roku, że nie mogliśmy się spodziewać lepszéj pogody do opłynienia przylądku Horn, a z tych i innych uwag rozkazałem, aby obrócono stér w kierunku wiatru, i płynąłem ku przylądkowi Dobrej Nadziei, z wielką każdego na okręcie radością.

Zarzuciliśmy kotwicę w piątek 23 maja, w zatoce Simona, u przylądku, po dosyć znośnéj podróży. Okręt wymagał zupełnéj naprawy, gdyż tak przeciekać zaczął, iż zmuszeni byliśmy co godzina pompować wodę podczas żeglugi naszéj od przylądku Horn. Żagle i powrozy także trzeba było ponaprawiać, a przy obejrzeniu zapasów, znaleziono, że znaczna ilość uszkodzoną była.

Zabawiwszy na tém miéjscu dni trzydzieści ośm, i gdy

ludzie moi wszelkie odnieśli korzyści z wypoczynku i wczasu jakich tu użyć mogli, odpłynęliśmy 1 lipca.

Dnia 20 był wiatr silny, morze rozhukane, po południu fale powiększyły się tak gwałtownie, że okręt zatopił się prawie na piętro, nim zdołaliśmy zwinąć żagle. Spuszczono dolne reje, a najwyższy maszt złożono na pokładzie, przez co wiele ulżono okrętowi. Zatrzymaliśmy się noc całą, a rano płynęliśmy przedni żagiel zwinąwszy. Gdy morze jeszcze się burzyło, po południu bardzo było niebezpiecznie daléj płynąć: dla tego staliśmy całą noc, bez żadnéj przygody, tylko że jeden z ludzi u stéru zostających rzucony był na koło i potłukł się mocno. Ku południowi zmniejszyła się gwałtowność burzy, i my, pod zwinionym żaglem przednim, płynęliśmy.

W kilka dni minęliśmy wyspę S. Pawła, gdzie jest dobra woda słodka, jak mi powiadał pewny kapitan holenderski, i przytém źródło gorącéj wody, w któréj ryby tak doskonale jak gdyby przy ogniu ugotować można. Zbliżając się do Ziemi van Dimena, mieliśmy wielką niepogodę, śnieg i grad, lecz nic nie dostrzeżono, coby nam bliskość lądu wskazywało, 13 sierpnia, tylko żagiel widziano w odległości mil dwudziestu od tegoż. Zarzuciliśmy kotwicę w zatoce Aventure, we środę dnia 20.

W żegludze naszéj do tego miejsca, od przylądku Dobréj Nadziei, główne wiatry były od zachodu, przy nader burzliwéj porze. O zbliżaniu się silnych wichrów południowych dają znać gromady ptaków z rodzaju żaglościgów (albatros) i kurzoskazów (petrel procellaria), które gdy odlatują, jest to przepowiednią uciszania się wiatru, lub zboczenia ku stronie północnéj. Równie i ciepłomierz podnosi się o pięć lub sześć stopni, gdy można się spodziewać zmiany wiatrów.

W okolicy zatoki Aventure, wiele jest drzew leśnych na sto pięćdziesiąt stóp wysokich; widzieliśmy jedno mające przeszło trzydzieści trzy stóp w obwodzie. Ujrzeliśmy wiele or-

łów, czaple z piękném pierzem niebieskiém, i wielką rozmaitość papug.

Gdy się krajowcy nie ukazywali, udaliśmy się w celu wyszukania ich ku przylądkowi Fryderyka-Henryka. Wkrótce potém, zarzucając kotwicę o kilku gałęziach u brzegu, bo niemożna było przybić do lądu, usłyszeliśmy ich głosy, do gęgania gęsi podobne, i dwadzieścia osób wyszło z lasów. Rzuciliśmy na brzeg paczkę błyskotek, któréj oni nie chcieli rozwinąć, aż udałem, jakobym się oddalał, wtedy otworzyli paczkę, a wyjmując z niéj różne przedmioty, włożyli je na głowę. Na pierwsze ukazanie się, zaczęli dziwnie bełkotać, i trzymali ręce nad głowami. Mówili tak prędko, że ani jednego słowa przez nich wymawianego niepodobna było schwytać. Kolor ich czarny, mocno ciemny; skóra na piersiach i łopatkach ponacinana. Jeden z nich odznaczał się tém, że miał ciało pomalowane czerwoną okrą, lecz inni byli pomazani na czarno, rodzajem sadzy, tak grubo na twarzy i ramionach, iż trudno było rozpoznać, do czego byli podobni.

Dnia 4 września we czwartek, opuściliśmy zatokę Aventure, płynąc naprzód ku stronie wschodnio-południowo-wschodniéj, a potém ku północo-wschodowi; aż dnia 19 ujrzeliśmy gromadę małych wysp skalistych, które nazwałem wyspami Przyjacielskiemi. Wkrótce potém uważaliśmy często, iż morze, podczas nocy, pokryte było świetnemi plamami, co pochodziło z zadziwiającego mnóstwa małych istot, głowami Meduzy zwanych, które wydają światło, podobne do blasku świécy, z żyłek i włókien rozchodzących się z tychże, wtenczas gdy całe ich ciało zupełnie ciemném zostaje.

Wyspę Otahajtę dojrzeliśmy 25 dnia, i nim nazajutrz zarzucono kotwicę w zatoce Matavai, takie mnóstwo łodzi przypłynęło do nas, iż krajowcy przekonawszy się, że przyjaciołmi ich byliśmy, weszli na okręt, i napełnili pokład do tego stopnia, że ledwie w dziesięć minut mogłem swoich znaleść

Droga, którą przebył okręt, w kierunku prostym i odwrotnym, od czasu opuszczenia Anglii aż do przybycia do Otahajty, wynosiła mil dwadzieścia siedm tysięcy ośmdziesiąt sześć, co w przecieńciu czyniło mil sto ośm na każde dwadzieścia cztery godzin.

Tutaj utraciliśmy naszego chirurga 9 grudnia. Ostatnią razą zaledwie kiedy-niekiedy wychodził z pokoju, choć nie zdawało się, aby w niebezpiecznym był stanie. Wieczorem wszelako, mając się na pozór gorzéj niż zwykle, przeniesiony został na miejsce, gdzie świeższe było powietrze, co jednak na nic się nie przydało, bo umarł w godzinę potém. Ten człowiek nieszczęśliwy pił bardzo wiele, i tyle stronił od ruchu ciała, że niemożna go było namówić do przejścia się czasem ze sześć razy po pokładzie, przez cały ciąg żeglugi. Pochowano go na brzegu.

W poniedziałek 5 stycznia, zaginął mały statek, o czém mnie natychmiast zawiadomiono. Po przeglądzie okrętowéj czeladzi, znaleźliśmy trzech ludzi nieobecnych, którzy na nim odpłynęli. Wzięli oni ze sobą ośm strzelb i naboje; lecz co się tyczy ich zamiaru, każdy na okręcie zdawał się być nieświadomym tego. Udałem się więc na brzeg, i wezwałem wszystkich naczelników o udzielenie mi pomocy w odzyskaniu łodzi i schwytaniu zbiegów. Tak tedy piérwsze powrócone zostały w ciągu dnia tego, przez pięciu krajowców; lecz ludzi dopiéro w trzy tygodnie prawie pojmano. Śledząc miejsce w którém zostawali, w zupełnie innéj stronie wyspy Otahajty, udałem się tam na statku, sądząc, że nie będzie bardzo trudno ich przytrzymać, z pomocą krajowców. Jednakże usłyszeli o mojém przybyciu, a kiedym był blisko domu, w którym przebywali, wyszli bez broni palnéj i poddali się. Kilku z naczelników piérwéj jeszcze schwytało tych zbiegów i związali ich; lecz przyrzeczeniem wrócenia spokojnie znów na okręt, dali się nakłonić, i puścili ich na wolność. Ale ci mając sposobność wzięcia się do oręża, zwrócili go ku krajowcom.

Teraz dopiąłem zamiaru podrózy, wszystkie szczepy drzewa chlebowego, w ilości tysiąca pietnastu, kazałem przenieść na okręt we wtorek dnia 31 marca. Oprócz tych, zebraliśmy wiele innych roślin; niektóre z nich najpiękniejsze w świecie rodziły owoce; inne ważne były z powodu, że wydawały świetne farby, i dla innych tym podobnych własności. O zachodzie słońca, 4 kwietnia, odbiliśmy od Otahajty, żegnając wyspę, na któréj przez dwadzieścia trzy tygodnie, obchodzono się z nami z największą uprzejmością i względami, które nawet w stosunku naszego pobytu powiększać się zdawały. Że nie byliśmy nieczuli na ich życzliwość, dowiodły to dostatecznie następujące okoliczności; bo właśnie przyjazne i usłużne postępowanie tych ludzi możnaby niejako naznaczyć za przyczyczynę zdarzenia, które zniweczyło wyprawę, choć już pod każdym względem spodziewać się wypadało, że ta najpomyślniejszym uwieńczona będzie skutkiem.

Następnego poranku ujrzeliśmy wyspę Huaheine, a w podwójnéj łodzi, która wkrótce ku nam przypłynęła, i zawierała w sobie dziesięciu krajowców, ujrzałem między niemi młodego człowieka, który przypomniał mnie sobie, i po imieniu nazwał. Byłem tu w 1780 roku, z kapitanem Kukiem, na okręcie Odwaga (Resolution). W dni kilka potém, gdyśmy odpłynęli od wyspy, nadeszła nagła burza, a gęste tłumy chmur czarnych zbierały się na wschodzie. Wkrótce postrzeżono trąbę wodną w niewielkiéj od nas odległości, która przy ciemnych chmurach za nią będących, bardzo się wspaniale wydawała. Podług tego, jak sądzić mogłem, wierzchnia część miała około dwóch stóp średnicy, dolna blisko ośm cali. Zaledwie to uważałem, ujrzałem wkrótce, że ta szybko posuwała się ku okrętowi. Natychmiast zmieniliśmy kierunek, i zwinęliśmy wszystkie żagle oprócz przedniego; wnet poczém trąba przeszła o dziesięć łokci od tylnéj części okrętu, z szelestem i szumem, lecz nie doznaliśmy wcale przykrego wrażenia, widząc że tak od nas bliska. Zdawało się, że odbywa

drogę w stosunku prawie mil dziesięciu na godzinę, w kierunku wiatru, i rozproszyła się w kwadrans po minięciu nas. Niepodobna rzec, jaką szkodę bylibyśmy ponieśli, gdyby prosto przez nas była przeszła. Sądzę, że byłaby zerwała maszty, lecz nie pojmuję, aby niebezpieczeństwem zatonienia okrętowi groziła.

Płynąc mimo wielu wysp w podróży, stanęliśmy na kotwicy w Annamooki, 3 kwietnia; pewien kulawy starzec nazwiskiem Tepa, któregom tu poznał w 1777 roku, i przypomniałem sobie od razu, przyszedł na okręt wraz z innymi, z różnych wysp w pobliskości. Pragnęli oni zobaczyć statek, a będąc sprowadzeni na dół, gdzie stały szczepy drzewa chlebowego, wielkie oświadczyli zadziwienie. Gdy kilka z tych zwiędło, udaliśmy się na brzeg dla postarania się o inne na ich miejsce.

Krajowcy okazywali liczne znaki szczególnéj żałoby, jaką po stracie krewnych swoich noszą; n. p. skronie zbroczone krwią, głowy pozbawione większéj części włosów, a co gorsza, prawie każdy z nich nié miał kilku palców. Wielu ładnych chłopców, niemających więcéj jak lat sześć, miało oba małe palce ucięte; a kilku mężczyzn, oprócz tych, było bez średniego palca u prawéj ręki.

Naczelnicy poszli zemną na objad; prowadziliśmy uporny targ o drzewo chlebowe; nabyliśmy także roślin, babką lub żabieńcem zwanych, i owoców drzewa chlebowego. Ale drzew tych była wielka obfitość, piękne i ogromne. Jedno z nich, ważyło przeszło czterdzieści pięć funtów. Przypływały łodzie, niektóre z nich miały w sobie nie mniéj nad dziewięćdziesięciu podróżnych. Z rozmaitych wysp przypływała ich stopniowo tak wielka liczba, że niepodona było co zrobić, bo tłum się powiększał, a żaden z naczelników nie miał tyle powagi, aby całéj massie mógł rozkazywać. Poleciłem przeto aby oddział, do dostarczenia wody wtedy użyty, wrócił na okręt, i odpłynąłem w niedzielę, 26 kwietnia.

Trzymaliśmy się w bliskości wyspy Kotoo cały czas popołudniowy w poniedziałek, w nadziei, że może przypłyną łodzie do okrętu, lecz w tém zawiedliśmy się; wieczorem ku stronie zachodniéj, w zamiarze przejścia obok południowego brzegu Tofoa, wydałem polecenie, aby téj drogi ciągle trzymano się w nocy. Podstarszy miał straż pierwszą, potém kanonier straż średnią, a pan Chrystyan straż poranną. Taka była koléj służby podczas nocy.

Dotąd była żegluga nieprzerwanie pomyślną, sprzyjały jéj okoliczności równie przyjemne jak zadowalające. Lecz wcale odmienna scena nasąpić teraz miała: uknuto spisek, przez co wszystkie poprzednie trudy i zabiegi nasze skończyły się tylko na smutku i niedoli; ułożono się zaś z taką tajemnicą i ostrożnością, że ani jedna okoliczność nie wydała grożącéj nam klęski.

W noc poniedziałkową postawiono straż jak opisałem. We wtorek rano, właśnie przed wschodem słońca, kiedym spał jeszcze, pan Chrystyan z podofficerem i kanonierem drugim, i Tomaszem Burkitt, majtkiem, wszedł do mego pokoju, a przyszedłszy do mnie, związał mi w tył ręce powrozem, grożąc nieochybną śmiercią, jeżeli mówić będę lub krzyk najmniejszy wydam. Krzyczałem jednak tak głośno, jak tylko mogłem, w nadziei, że pomoc otrzymam; lecz wojskowi nienależący do ich stronnictwa, przytrzymani już zostali przez straże u ich drzwi postawione. U drzwi mego pokoju trzech było ludzi, oprócz cztérech wewnątrz będących: wyjąwszy Chrystyana wszyscy mieli bagnety i strzelby; on trzymał kordelas tylko. Wywlekli mnie z łóżka, wypchnęli na pokład w jednéj koszuli, i w tymże czasie więzy na rękach wielki mi ból zadawały. Gdym pytał o przyczynę takiego gwałtu, za całą odpowiedź znieważono mnie za to, żem nie umiał milczeć. Podstarszy, kanonier, chirurg, podstarszy drugi, i Nelson ogrodnik, przytrzymani byli w zamknięciu na dole, a warta strzegła wielkich drzwi z pomostu na dół prowadzących. Łodziarzowi,

cieśli, również i pisarzowi pozwolono wejść na pokład gdzie mnie ujrzeli stojącego pod mniejszym masztem z rękami w tył związanemi, pod strażą, na czele któréj był Chrystyan. Wtedy kazano łodziarzowi spuścić łódkę, z pogróżką, że jeżeli tego natychmiast nie uczyni, *będą mieli staranie o nim.*

Gdy już łódź była spuszczona, kazano wejść w nią panu Hayward i panu Hallett, obudwom officerom i panu Samuel pisarzowi. Pytałem jakie są ich zamiary, że taki rozkaz wydają, i usiłowałem nakłonić ludzi blisko mnie będących do zaprzestania takowych gwałtów, lecz to było bezskutecznem; ciągle mi bowiem odpowiadano: „Milcz panie, lub zginiesz w téj chwili."

W tym czasie przysłał starszy z prośbą, aby mógł przyjść na pokład, co mu pozwolono; lecz wkrótce kazano mu do swego wrócić pokoju. Starałem się nieustannie o złagodzenie téj sprawy; gdy wtém Chrystyan, zamieniając kordelas który trzymał w ręku, na bagnet, i silnie trzymając mnie za powróz około rąk moich, niebawną zagroził mi śmiercią, jeżeli nie będę cicho; a niegodziwcy w około mnie stojący, odwiedli kurki i osadzili bagnety.

Na kilka osób zawołano, aby spuściły się do łodzi i pchano ich; skąd wniosłem, że i mnie z niemi wysadzą. Usiłując jeszcze zmienić to wszystko, słyszałem tylko pogróżki, że mi w łeb wypalą.

Łodziarzom i majtkom, mającym iść do łodzi, pozwolono nabrać przędziwa, płótna, sznurów, żagli, powrozów, beczkę wody, dwadzieścia ośm galonów (224 garnce) obejmującą; a pan Samuel dostał 150 funtów chleba, z małą ilością rumu i wina; równie kompas i bussolę; lecz pod karą smierci zabroniono mu ruszyć karty lub książki astronomiczne, jakie narzędzia, albo moje papiery i rysunki.

Gdy buntownicy pozbyli się majtków, których do łodzi wysłali, Chrystyan kazał dać porcją wódki każdemu ze swoich ludzi. Widziałem wtedy nieszczęśliwy, że już nic w odzyska-

niu okrętu nie da się zrobić. Następnie zwołano officerów na pokład, i zmuszono do udania się do łodzi, mnie zaś przez cały czas na ustroniu, zdala od każdego, pod mniejszym masztem trzymano. Chrystyan, bagnetem zbrojny, trzymał sznur ściskający mi ręce, a w około mnie stała straż, mając kurki u strzelb odwiedzione; ale gdym zawołał na niewdzięczników by dali ognia, spuścili zamki. Widziałem, że jeden z nich, Izaak Martin, miał chęć dania mi pomocy, a gdy pokrzepiał mnie wodą z tornistru, bo usta moje zupełnie były spiekłe, spojrzeniem wyrażaliśmy sobie wzajemne uczucia. Dostrzeżono tego jednak i oddalono go. Wtedy wszedł on do łodzi, usiłując opuścić okręt, ale zmuszony był do powrotu. Wstrzymano także kilku innych, mimo ich woli.

Sądziłem że Chrystyan zostawał przez czas niejaki w wątpliwości, czyli ma zatrzymać cieślę albo też jego czeladników. Nakoniec obrał drugie, i kazał cieśli iść do łodzi. Pozwolono mu, nie bez wstrętu wszakże, zabrać pudełko z narzędziami.

Pan Samuel wziął moje dzienniki i upoważnienie, z wielu ważnémi papiérami okrętowémi; uczynił to nader odważnie, choć go ściśle strzeżono. Usiłował zachować chronometr, moję skrzynkę z papiérami, rysunkami i pamiętnikami od lat przeszło piętnastu, których było bardzo wiele; gdy wtém odegnano go z przekleństwem — „Bodajeś oślepł, dobrze żeś wziął to co masz."

Długa toczyła się między niesforną czeladzią okrętową sprzeczka przez ciąg całéj téj sprawy. Niektórzy przysięgali: „Niech mię kaci porwą, jeżeli on nie dostanie się do domu, jak weźmie co z sobą,"—o mnie mówiąc — a gdy unoszono pudełko cieśli: „Bodajem oślepł, on za miesiąc nowy zbuduje okręt;" podczas tego, szydzili sobie inni, że łódź tak jest słaba, tak się głęboko zatapia, i tak mało w niéj miejsca dla znajdujących się tam osób. Co do Chrystyana, ten zdawało się, że przemyślał nad zgubą siebie i innych.

Prosiłem o broń, lecz buntownicy śmieli się ze mnie, i powiedzieli, że dobrze mi są znani ludzie, z którymi mam płynąć; wszelako rzucono nam w łódkę cztery kordelasy, gdyśmy okrążali tylną część okrętu.

Officerowie i ludzie znajdujący się w łodzi, czekali na mnie tylko, o czém podofficer zawiadomił Chrystyana, a ten rzekł: „Idź kapitanie Blaju, officerowie twoi i ludzie są już w łodzi, ty musisz płynąć z niémi; jeżeli najmniejszy opór okażesz, zginiesz niebawem;“ i bez dalszych grzeczności pchali mnie łotry uzbrojeni, rozwiązawszy mi ręce. Gdym już był w łodzi, okrążyliśmy tył okrętu za pomocą liny. Rzucono nam kilka kawałków wędliny, jako też i cztery kordelasy. Wtedy puszkarz i cieśla wołali na mnie, abym pamiętał, że oni nie mieli w téj sprawie udziału. Zatrzymano nas czas niejaki dla igraszki tych nieczułych istot, a wycierpiawszy wiele szyderstwa, zostaliśmy nakoniec na otwarte puszczeni morze.

Ośmnaście osób było zemną w łódce: starszy, czynny chirurg, botanik, kanonier, łodziarz, cieśla, starszy i kwatermistrz drugi, dwóch kwatermistrzów, mój pisarz, rzeźnik, i mały majtek na nauce. Pozostali na okręcie: Fletczer, starszy drugi, Piotr Haywood, Edward Young, Jerzy Steward, officerowie; podoficer, kanonier drugi, łodziarz drugi, ogrodnik, puszkarz, cieśla drugi, czeladź ciesielska, i czternastu majtków, prawie najzdatniejsi ludzie z całej drużyny okrętowéj.

Mając wiatr mały lub niemając go wcale, płynęliśmy dość prędko do wyspy Tofoa, leżącéj ku północo-wschodowi, w odległości prawie mil dziesięciu. Dopóki widzieliśmy okręt, płynął on w stronę zachodnio północno-zachodnią, jednak uważałem to za zmyślenie, albowiem gdy nas wyprawiono: „Huzza do Ottahajty!“ okrzyk buntowników często można było słyszyć.

Chrystyan, najstarszy z nich, pochodził ze znakomitéj rodziny w północnéj Anglii. Odbywał teraz trzecią podróż ze mną. Pomimo surowego obejścia się, jakiego doznałem,

wspomnienie przeszłych względów wzbudziło w nim niejaką zgryzotę. Podczas tego, gdy mnie wypychano z okrętu, zapytałem go, czy to jest stosownêm wywdzięczeniem się za tyle przykładów doznanéj odemnie przyjaźni? Na to pytanie zdawał się być pomięszanym, i odpowiedział z wielkiem wzruszeniem: „Tak — kapitanie Blaju — tak właśnie — jam w piekle.“ Podjęcie się zwierzchnictwa nad trzecią strażą, podług tego jak rozdzieliłem ludzi okrętowych, było dla niego bardzo dogodném, i posłużyło do wykonania zamiaru.

Także Haywood był szczepem znacznego domu w północnéj Anglii; młodzieniec pełen zdolności jak Chrystyan. Obadwaj byli przedmiotem szczególnéj mojéj uwagi i względów; wiele zadawałem sobie pracy w nauczaniu ich, pojąc się nadzieją, że, jako biegli w swém dziele, mogliby kiedyś krajowi przynieść sławę. Younga dobrze mi zalecono, a Stewart był synem godnych rodziców z wysp Orkadzkich, w którém to miejscu, w powrocie okrętu Odwaga z mórz południowych w 1780 roku, z taką przyjęci byliśmy uprzejmością, że nawet dla tego samego chętnie byłbym go wziął z sobą. Lecz zawsze on dobremi odznaczał się przymiotami.

Kiedym miał czas do zastanowienia się, uczułem naprzód wewnętrzne zadowolnienie, a potém smutek w méj duszy. A jednak przed kilku godzinami, położenie moje szczególnie było pochlebném; mój okręt w najlepszym był porządku; zaopatrzony we wszystko do zdrowia i służby potrzebne; dopiętym został cel żeglugi, a dwie trzecie części drogi już przebyto. Pozostała część tak pomyślną na pozór być miała.

Naturalnie zapyta kto: jaka być mogła przyczyna takowego buntu? W odpowiedzi mogę tylko dorozumiewać się że buntownicy poili się nadzieją, iż szczęśliwsze u Ottahajczyków pędzić będą życie, aniżeli w Anglii spodziewać się mogli; co obok związków z niewiastami wyspy, podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, było przyczyną całéj téj sprawy.

Kobiéty na Ottahajcie piękne są, łagodne, wesołe, w oby-

czajach i obcowaniu, mają wielką czułość, i dość są delikatne, aby mogły być wielbione i kochane. Naczelnicy tak do ludzi naszych byli przywiązani, że raczéj zachęcali ich do dalszego pobytu, a nawet czynili im obietnicę względem objęcia znacznych majętności. Przy tych, i wielu innych towarzyszących im okolicznościach, nie powinno to dziwić, że kilku żeglarzów, z których większa liczba nié miała krewnych dało się uwieść, tam, gdzie mogli pędzić dni swoje w dostatkach, na jednéj z najpiękniejszych wysp w świecie, gdzie nie trzeba było trudzić się i pracować, i gdzie powaby rozrywek wyższe są nad wszelkie pojęcie, jakie o tém utworzyć sobie można. Jednakże, przywódca mógł się najwięcéj spodziewać zbiegostwa tylko, co już mniéj-więcéj na południowych morzach zdarzało się, ale nie takiego postępku — jawnego buntu.

Lecz tajemniczość tego spisku wszelką przechodzi wiarę. Trzynastu ludzi ze mną teraz będących, zawsze żyli z żeglarzami w zgodzie, a jednak ani ci, ani współstołownicy Chrystyana, Stewart Haywood i Young, nigdy nie wyrzekli żadnéj okoliczności mogącéj wzbudzić podejrzenie, że coś ukrywano; nie dziw zatém, że padłem ofiarą zmowy, bo umysł mój wolny był zupełnie od podejrzliwości. Może, gdyby majtkowie byli na pokładzie, straż u drzwi mego pokoju stojąca, mogłaby była zapobiedz temu; zawsze bowiem w nocy drzwi były otwarte, aby officer strażą dowodzący, w każdym razie miał przystęp do mnie. Gdyby powodem spisku były jakie uciążliwości, rzeczywiste lub zmyślone, musiałbym odkryć poznaki niezadowolenia, a wtedy miałbym się na baczności, lecz wcale było inaczéj. Szczególnie z Chrystyanem w bardzo przyjaznych zastawałem stosunkach; bo tego samego dnia zaprosiłem go na objad; a poprzedniéj nocy wymówił się, że nie przyjdzie na wieczerzę, niby dla tego, że był niezdrów, co mnie wielce obeszło, nie wzbudziwszy bynajmniéj podejrzenia o prawości jego charakteru.

A. Zawadzki.

Kronika Piśmiennicza

POLSKA.

372. Nowe przestrogi dla pijaków,

z różnych autorów zebrane, ku poprawie kmiotków i miejskich moczymordów. W ósemce, stronnic 16 bez wyrażenia miejsca druku i roku (w Krakowie 1844).

Książeczka ta wydana wierszem przez *Towarzystwo trzeźwości, założone pod opieką najświętszéj Panny Maryi oczyszczenia w Krakowie*, mieści w sobie: 1) Rozpacz arendujących karczmy, przez utratę szynkowania gorzałką i arakiem; — rozmowa z kolegami. 2) Dysputa głównego pijaka komotra z komotrem o poprzestaniu picia gorzałki. 3) Wiersz zkąd gorzałka pochodzi. 4) Ostatnie słowo pijaka, zaczynające się:

Chcesz jak osioł głupim żyć?
Naucz się gorzałki pić.
Chcesz do barszczu rurą być?
Chciéj się tylko codzień spić —
Chcesz w rynsztoku nocleg mieć?
Do szynkowni w wieczór idź.

Cała ta broszurka podobnym pisana wierszem częstochowskim, dla tego aby znalazła popularność, aby od całego

ludu krakowskiego czytaną była. Zamieszczamy ją w kronice pisma naszego, gdyż w księgarniach dotąd się nie znajduje — a dla swego wpływu, jaki ma wywrzeć, warta upowszechnienia. Obok niéj mogą iść w parze dwa osobne druki w ósemce, każdy po 4 str., w jednymże wydane celu. Piérwszy z nich nosi miano:

Przystąpienie do towarzystwa (trzeźwości), gdzie znajduje się schemat przysięgi, *pobudki do trzeźwości; doświadczenie codzienne i wezwanie.* Wszystkie te urywki prozą. Drugi jest pod napisem:

Kwaternica Piekielna, wiersz na osobnym papiérze, o 16 strofach, z których ostatnia tak przemawia:

Teraz bracia! teraz żywo!
Bóg dał wodę, jest i piwo.
Nie braknie nam nigdy chleba,
A po śmierci: skik do Nieba!

Cały ten wiérsz umieszczony był w *Kmiotku*, piśmie czasowém dla Ludu, wydawaném w Warszawie, w Nr. 34. z m. sierpnia 1844 r.